

Wiadomości Wędkarskie

Rok VI

CZERWIEC 1949 ROK

Nr 6

M I E S I Ę C Z N I K

ORGAN ZWIĄZKU SPORTOWYCH TOWARZYSTW WĘDKARSKICH R.P.

Oddziały Okręgowe i Towarzystwa Wędkarskie

Na odbytym w dniu 13 lutego rb. Dorocznym Zjeździe Delegatów Towarzystw zrzeszonych w Związku zostały uchwalone pewne zmiany w statucie Związku. Potrzebne to było dla dostosowania niektórych punktów statutu do wymagań chwili obecnej.

Najbardziej istotną zmianą było wprowadzenie do Statutu całego szeregu artykułów, ustalających organizację oddziałów okręgowych, wzajemian za jedyny artykuł dawnego statutu, upoważniający Związek do zakładania oddziałów regionalnych.

Brak odpowiedniego regulaminu, lub bardziej szczegółowego omówienia tego zagadnienia w statucie powodował, że tworzone poprzednio oddziały okręgowe budowane były na różnych podstawach organizacyjnych. Nieomal każdy okręg, już funkcjonujący, inaczej był organizowany. Przepisy obecnego statutu tę organizację ujednostajniają.

Przed wszystkim należy odpowiedzieć na pytanie, jakie jest ich zadanie, dla jakich służą celów? Przy bardzo szybko postępującym rozwoju organizacji wędkarskich, Zarząd Związku nie jest w stanie utrzymywać bezpośredniego kontaktu ze wszystkimi towarzystwami, nie jest w stanie znać wszystkich potrzeb towarzystw, nie ma możliwości opieki nad nimi, a jednocześnie kontrolowania ich działalności. Wiadomo przecież, że w momencie szybko postępującego rozwoju wędkarstwa mogą powstawać nowe towarzystwa, które przystępują do Związku nie dlatego, że rozumieją konieczność istnienia wspólnej organizacji, a po prostu dlatego, że chcą wykorzystać pewne uprawnienia. Dlatego właśnie oddział okręgowy musi pilnie czuwać nad wartością moralną towarzystw jego okręgu, nad ich gospodarką, ich poziomem sportowym.

Tak pomyślany oddział okręgowy jest organem pomagającym w pracy

Zarządu Głównego, jest niejako jego częścią składową, nie prowadzi własnej gospodarki, nie posiada własnego majątku, a więc nie posiada osobowości prawnej.

W tej chwili, prócz paru województw wschodnich, cały obszar Polski został podzielony według obszarów województw na okręgi, które już przystąpiły do wykonywania swych zadań. Niewątpliwie istnieją jeszcze pewne braki, ale zostaną one usunięte, a obecność niżej podpisanego prawie na wszystkich zebraniach organizacyjnych pozwoliła stwierdzić, że istnieje wśród przyjmujących udział w tych zebraniach pełne zrozumienie celowości tej pracy i duża doza poświęcenia dla sprawy. Są to momenty bardzo ważne, ponieważ dalszy zdrowy rozwój Związku, dalsze postępy w organizacji i osiągnięciach wędkarstwa tu będą miały swój punkt ciężkości.

Niejednokrotnie pisaliśmy o tym, jakie są zamierzenia Związku na przyszłość. O sprawach ważnych należy mówić często — więc je powtarzam. Związek powinien dążyć do tego, by objął za pośrednictwem Towarzystw Wędkarskich w gospodarowanie wszystkie rzeki Polski. Powinien dążyć do tego, by karty wędkarskie były wydawane tylko członkom Towarzystw zrzeszonych, by legitymacja Towarzystwa Wędkarskiego była równoznaczna karcie wędkarskiej, by wyznaczona pozwoleń na połów wędką między Towarzystwami była jak najszerszej stosowana, by wędkarstwo, niezależnie od swego wysokiego poziomu sportowego było wzorowym gospodarzem na posiadanych wodach, by dostarczało ze swych gospodarstw pewnych ściśle określonych ilości ryb do konsumpcji na rynek wewnętrzny, b'orąc oczywiście do tego obliczenia i ilości złowionych i spożytych przez wędkarzy ryb, by zwalczone zostało kłusownictwo, by usunięte zostało zanieczy-

szczenie wód ściekami fabrycznymi lub kanalizacyjnymi itd itd.

Wszystko to jest możliwe przy dobrych chęciach wędkarstwa, przy podporządkowaniu się pewnej dyscyplinie i przy ofiarnej pracy nie pojedynczych wędkarzy, a całego społeczeństwa wędkarskiego.

A kto może tego wszystkiego dokonać? Jaką drogą można do tego dojść? — Tylko przez właściwą organizację i właściwą pracę Towarzystw Wędkarskich.

Przed wszystkim Towarzystwa Wędkarskie powinny wszczepić w swych członków bakcyll konieczności pracy dla Towarzystwa. Każdy członek Towarzystwa w granicach swych możliwości powinien przyłożyć cegiełkę swoją dla wykonania licznych prac ciężących na Towarzystwie. Oczywiście powinno ono przede wszystkim starać się o to, by jej członkowie mieli możliwość jak najdogodniejszego wędkowania, boć przecież to jest ich odpoczynkiem. Powinni mieć ułatwiony dojazd do terenu, ułatwiony dostęp do niego, możliwość przenocowania na terenie, a w razie potrzeby nawet możliwość wyżywienia się. Dzięki szczegółowo opracowanym regulaminom powinno istnieć podporządkowanie się pewnym, bezwzględnie stosowanym przepisom, chronienie przed możliwością jakichkolwiek przykrości lub nieporozumień ze strony kolegów, a wszystko oparte na harmonijnym, życzliwym i całkowicie koleżeńskim współżyciu członków Towarzystwa i na wyraźnej chęci przychodzenia Zarządowi z pomocą, a nie na suchej, czasem słusznej, a czasem i niesłusznej krytyce Zarządu.

To jednak nie wyczerpuje zakresu pracy Towarzystwa. Musi ono wykonywać wszystko, co do niego jako użytkownika terenu rybackiego należy. W pierwszej linii — zarybienie obwołu i to nie według wyłącznie własnej kombinacji, a w oparciu

się o potrzeby terenu, w porozumieniu z znawcami, a w pierwszej linii z wojewódzkim inspektorem rybactwa, i zgodnie z warunkami umowy dzierżawnej. Wiem, że obowiązek ten, chętnie na ogół realizowany, często powoduje duże trudności, a czasem jest poprostu niewykonalny. Nie mówię o trudach, które należy podnieść dla zarybienia. Chętni do wykonania potrzebnych czynności powinni zawsze znaleźć się z nadwyżką.

Towarzystwo musi walczyć z kłusownictwem, wkładając w to środki materialne na utrzymanie straży i starania osobiste przez powoływanie komisji wodnych, których zadaniem w pierwszym rzędzie jest walka z kłusownictwem.

Mówiąc o walce z kłusownictwem, nie można pominąć milczenia tych trudności, z jakimi walczyć musi Towarzystwo. Utrzymanie straży rybackiej jest bardzo wielkim, często nadmiernym ciężarem Towarzystwa. Powodem tego jest konieczność u-

trzymywania dość licznej straży, wysokość jej wynagrodzenia i wysokość opłat socjalnych. Poza tym brak broni czyni wysiłki i starania straży w pewnych okolicach wprost problematycznymi. Czy celem podniesienia prestiżu straży nie byłoby wskazanym straż upaństwić, zrobić z niej zamiast zaprzysiężonego strażnika — funkcjonariusza państwowego, a potrzebne na to środki znaleźć w specjalnie na ten cel podniesionych opłatach za karty wędkarskie?

Do obowiązków Towarzystwa Wędkarskiego należy walka z obojętnością i nieświadomością szerokich mas społeczeństwa w odniesieniu do woszystkiego, co dotyczy rybactwa, gospodarki na wodach naszych, zakazów i uprawnień. Społeczeństwo nasze w znacznym stopniu skutkiem obojętności naszej prasy na sprawy rybackie, nie orientuje się w tym, co wolno łowić, kiedy wolno, skąd pochodzi konsumowana ryba.

Towarzystwa Wędkarskie powinny mieć w programie swojej działalności walkę z tą obojętnością społeczeństwa przez odpowiednie oddzia-

ływanie na prasę miejscową, przez powodowanie zamieszczania w niej odpowiednich artykułów, przez odpowiednie uświadamianie społeczeństwa przy pomocy urzędzania odczytów i zebrań z udziałem szerszej publiczności i z celowym doбором poruszanych tematów.

Działalność Towarzystwa Wędkarskiego nie może zamykać się w przeszczeniu kilku miesięcy sezonu wędkarskiego, winna trwać w ciągu całego roku, z odpowiednim przystosowaniem programu prac do pory roku.

Towarzystwo Wędkarskie powinno być ośrodkiem pracy, w kierunku zagadnień gospodarczych, społecznych i sportowych.

Przed wędkarstwem sportowym stoją poważne zadania, wynikające z połączenia idei przyjemności z ideą pożytecznej pracy.

Musimy być godni pokładanego w nas zaufania ze strony władz państwowych, musimy dowieść zatem, że potrafimy sprostać zadaniu.

W. Czermiński

Pochodzenie wędki

„...Z tych zdrojów, stojąc przy mnie
wywabiała wędka
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z kraśną
centką“.
ADAM MICKIEWICZ, Dziady. Część IV.

I

Zazwyczaj nie zdajemy sobie sprawy, iż używana przez nas z takim zamiłowaniem i tyle nam radości przysparzająca — wędka jest jednym z najdawniejszych narzędzi łowieckich człowieka.

Wiadomo, że w dorzeczu Odry i Wisły znana była przed tysiącami lat — w środku epoki kamienia łupanego.

Już sama nazwa polska tego narzędzia: *węda* — *wędką* — *wądką* — *wędzica*, nie odchylająca się od starocerkiewnej, najbardziej zbliżonej do prasłowiańskiej: *qda* — *qđica* — wiedzie nas wyraźnie w bardzo odległe czasy. Wszystkie niemal plemiona słowiańskie dają jej podobne brzmienie: a więc Czesi i Słowacy — *udice*, *udidło*; Łużyczanie — *vudica*; Serbowie — *huda*, *wonidwo*; Kroaci — *vudicza*; Rosjanie — *uda*, *udka*; Ukraińcy *udidło*.

Świadczy to, że wyraz ów wyniesiony został podobnie jak nazwy większości ryb żyjących w polskich wodach (żab, szczuka, płocica, piskorz, okuń, lin, węgorz), ze wspólniej wszystkich Słowianom praojczy. Że był on w powszechnym użyciu w tymże brzemieniu i określał to samo, co dzisiaj — jeszcze przed rozejściem się poszczególnych plemion słowiańskich na wschód, południe i zachód, między III a V wiekiem.

Jednakże nazwą tą objęte były dwa, pokrewne zresztą narzędzia do połowu ryb.

Do 1500 roku w Polsce węda — to hak rybitwi¹⁾, osęka, (rodzaj bosaka), a także i widły.

Mały haczyk nazywano *wędziqą*²⁾, albo osęczką.

Te same pojęcia zawierały prasłowiańska „*qda*“, a również i wszelaka krzywizna³⁾.

U nas do XVI wieku „wędzić“ ryby znaczyło łowić je wędką lub ościeniem.

Uczony polski Samuel Linde podał w 1860 roku taki opis wędki: ⁴⁾ „Węda składa się z gibkiej i na końcu jak najcieńszej laski, pospolicie leszczyny nowej, z nicią kręconą z końskich włosów, do cienkiego końca laski przyprawionej: na końcu jest *węda*, szczególnie tak zwana — *to haczyk żelazny*“.

Dzisiaj nazwą wędki obejmujemy także całość narzędzia, a więc haczyk z zadziorem przywiązany do żyłki przezroczystej lub stalowej, zwanej przypodem, opatrzonej ciężarkiem (grzędzidłem) i pływakiem i połączonej z linką — dawniej zwaną *nicją wędną* — wraz z wędziskiem.

Wędą zaś, albo rzadziej motowiazem nazywamy linkę z doczepionymi do niej stągiewkami z haczykami, używaną na morzu do połowu łososi, w rzekach — jak sznur nocny na węgorze i inne ryby.

¹⁾ Czyli rybacki: rybitwą nazywano rybaka.

²⁾ W Biblii tłumaczonej przez Leopoldę Jana.

³⁾ Al. Bruckner. Słownik etymologiczny języka polskiego, str. 608, Lwów 1927.

⁴⁾ S. Bogumił Linde. Słownik języka polskiego. Tom VI, str. 246, Lwów 1860.

Z powyższych przesłanek, jakie osiągnęliśmy ze zbadania nazwy, możemy wyciągnąć następujące wnioski:

1. nazwa wędki pochodzi od jej haczyka z zadziorem (wędy), więc jest on najistotniejszą jej częścią.
2. Haczyk ten musiał być początkowo całością narzędzia, które uzyskało dwa rodzaje osęki — haka i wideł.
3. Później nazwa ta objęła haczyk wraz z nicią wędną (węda dzisiejsza czyli sznur nocny) przymocowaną doń bez pośrednio.
4. Wędzisko¹⁾ jest ostatnim uzupełnieniem narzędzia, gdyż wyraz ten pochodzi od nazwy zasadniczej — wędzica, jak toporzysko (rękojeść) od wyrazu topór, a część ta łączy się z haczykiem pośrednio za pomocą nici wędnej.

Rozumowanie powyższe dało nam ogólny rzut na rozwój wędki, lecz nie wyjaśniło jak powstała owa „wędzica“.

II

Postarajmy się odtworzyć początek wędy i przebieg jej kształtowania się przy pomocy wyobraźni, w oparciu jednak o wykopaliska prehistoryczne z jednej strony, z drugiej — o narzędzia pokrewne, które zachowały się w pierwotnej formie do czasów obecnych.

W odkrytym przed ostatnią wojną grodzie prasłowiańskim z wczesnego okresu żelaznego (700 — 400 lat przed Chr.) pod Biskupinem²⁾ uczeni nasi znaleźli wśród innych narzędzi także i ową wędzicę — haczyk żelazny z zadziorem i uszkiem do nici wędnej (rys. 1) taki sam, jakiego i dzisiaj używamy nieco tylko większy³⁾. Haczyk żelazny na ryby sprzed 2500 lat!



Na ziemiach polskich archeolodzy nasi odkopali i sporo takich haczyków żelaznych.

W Gnieźnie, w jednej z najstarszych warstw znaleziono większy nieco haczyk z brązu, skręcony, bez zadziora (rys. 2).



W Opolu na Śląsku — haczyk drewniany.

Haczyki te są różnych rozmiarów od 3,5 cm do 9,5 cm długości.

¹⁾ Albo wędzisko od węda — rzadziej używany wyraz.

²⁾ Wielkopolska — powiat zniński.

³⁾ Józef Kostrzewski. Kultura Prapolska, Poznań 1947, str. 60 i nast.

Widziałem wiele takich haczyków na ryby metalowych, kościanych, rogowych i z twardego drewna w Nordiska Muzeum w Sztokholmie.

Znaleziono je w grobach, a także w jaskiniach ludzi pierwotnych, wśród szczątków ości ryb i kości zwierząt.

Mówią one, że człowiek używał do połowu ryb wędki, zanim poznał brąz i żelazo, o wiele podatniejsze do wyrobu krzywizny haczyka od rogu i drewna.

III

Dowody archeologiczne prowadzą nas zatem o wiele dalej niż badanie nazwy wędki — aż do warunków życia człowieka pierwotnego. Umożliwia to domysł, jak wyglądało to początkowo narzędzie.

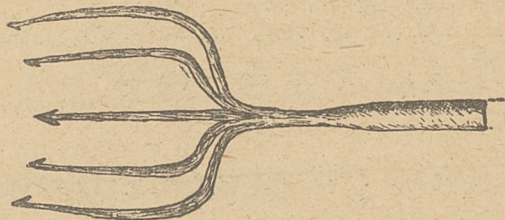
Wiemy, że pierwszymi narzędziami człowieka pierwotnego były pałki i kamienie, dopóki nie połączył ich w kamienny młot — siekierę, do zabijania zwierząt i obrony.

Ale jak łowił ryby, których było mnóstwo i stanowiły one bezpieczniejszą zdobycz niż zwierzęta?

Początkowo zapewne chwycił je rękoma, w jamach pod brzegiem, jak to praktykuje i obecnie młodzież wiejska.

Zimową porą ogłuszał je swym młotem pod lodem, co zachowało się dotąd na Litwie i Białorusi.

Latem klął je z brzegu lub z czółna zaostrzoną pałką — oszczepem. Często ryba ześlizgiwała mu się jednak i uchodziła. By temu zapobiec łowca wynalazł oszczep z sęczkiem skośnym tuż przy ostrzu. (ryc. 3). Sądzę, że była to właśnie pierwotna węda.



Stopniowo człowiek opatrzył tę pałkę grotem z kości, następnie z brązu i żelaza, uzyskując oścień z podwójnymi zadzioremami¹⁾.

Narzędzia takiego używają dotychczas niektóre plemiona murzyńskie i malajskie, a także Mandżurów w kraju Ussuryjskim, na Syberii²⁾.

Oścień ów rozwinął się potem w narzędzie skuteczniejsze — w rodzaj dwuzębnych wideł, wreszcie w okrutną ość rybitwią, o pięciu lub siedmiu długich żelaznych z zadzioremami zębach, przyczym środkowy zachował kształt pierwotny ościenia, (podwójne zadziory), osadzoną na długim dość cienkim pręcie, stroiszu.

¹⁾ Rozwój ościenia rybackiego podają w wielkim skrócie, gdyż łączy się z tematem tylko cząstkowo.

²⁾ Ussuri — lewy dopływ Amuru nad granicą ZSRR.

WĘDKARZE! Zapisujcie się do Towarzystw Wędkarskich

Ość przetrwała do naszych czasów¹⁾ w niezmienniej od wieków formie, w rękach kłusowników do tępienia szczupaków i innych ryb podczas tarła²⁾.

Właśnie ta ość³⁾ początkowo musiała nosić nazwę pierwotną — *węda*, gdyż jak wspomniałem poprzednio obejmowała także i pojęcie widel.

Zanim *oścień rybitwi* rozwinął się w ość, uzupełniony został długą *struną*⁴⁾ czyli linką z rzemienia lub jelit zwierzęcych. Zdarzało się bowiem iż ryba większych rozmiarów ukłuta wydierała z rąk łowcy narzędzie.

Zabezpieczyła go więc przed tym wypadkiem linka uwiązana do górnej części strojsza (pręta), lecz przeciągnięta aż do grotu. W dalszym rozwoju użyto linki konopnej lub lnianej. Przed użyciem nawijana na *motowidło*, początkowo uczynione z rozwidlonej gałęzi, jakiego używa się dotąd do wędek zastawionych na szczupaka, następnie — z kołka, obracającego się w otworach dwóch beleczek, połączonych poprzeczką, czy też kółek, (kołowrotka).

Powstał w ten sposób rodzaj harpuna, stosowanego do niedawna do połowu wielorybów. Drzewce (stroisz) służyło w nim już tylko do wbicia grotu z zadziorem w ciało ryby, którą przyciągano, po zmęczeniu jej linką.

Oścień z linką przetrwał i wśród Słowian.

¹⁾ W latach 1933 — 35 współdziałałem z Uniw. Wileńskim w zbieraniu różnych typów ości na Suwałczyźnie.

²⁾ Zakazana surowo ustawą z 1928 r.

³⁾ Również bardzo stary wyraz. Po rosyjsku — *ostroga*.

⁴⁾ Struna albo strona, stąd *postronek* (krótka l'na).

Znany pisarz rosyjski, wybitny wędkarz, Sergiej Aksakow opisał w 1847 roku w swej zajmującej książce⁵⁾ połów wielkiego szczupaka (30 kg wagi) na ość z długą linką.

IV

W jaki jednak sposób przeobraził się grot wędy ościenia uzupełnionej już linką w wędzicę — haczyk, jaki znaleziono pod Biskupinem w kształcie już niemal doskonałym?

Pochodzi on z wczesnej epoki używania żelaza, a więc już przed tym kształt ów musiał być w użyciu.

Starożytne haczyki drewniane (osęczki) przypominające swą krzywizną grotu, którym ścięto ostrze, pozostawiając jednak bardziej odchylony boczny sęczek (zadzior) (rys. 4).



Przypomnijmy sobie, iż *węda* w staropolskim języku — to także pierwotny bosak — *osęka*, „krzywo na hak wyrobione drewno“⁶⁾.

Na tej podstawie opieram mniemanie, że już w epoce, kiedy nie znano żelaza, równoległe do roz-

⁵⁾ S. T. Aksakow. Zapiski ob użenju ryby... St. Petersburg 1886. Połnoje sobranie socinienij... tom V. str. 148.

⁶⁾ S. Linde. Słownik języka polskiego.

Wśród gwaru oczeretów

„Lekki południowy wiaterek marszczył powierzchnię rzeki na otwartych przestrzeniach, lecz okienko wśród lścis nenufarów, gęsto rosnących dookoła, ozdobionych białymi koronami kwiatów, było gładkie jak tafła lustrzana.

Jak w lustrze odbijały zielone kępy trzciny i sitowia, a stojące spławiki podwajały swoją wysokość.

Miękko, trzepocąc skrzydełkami, czepiały się oczeretów turkusowe ważki.

Wielu uśmiecha się z politowaniem, patrząc na nas wędkarzy, siedzących godzinami nad wodą i wpatrzonych w nieruchome spławiki. Nie może jednak zrozumieć, że nie tylko moment brania i holu ryby daje nam tę moc wrażeń, która niepowstrzymanie ciągnie nas nad wodę.

Samo przebywanie nad rybną wodą, czytanie w tej zamkniętej dla laika księdze, ma niewypowiedziany urok. Pod gładką jak płyta szklana lub pomarszczoną falami powierzchnią żyją, rozmnażają się, giną i przeobrażają się miliony istnień. Nieprzerwanie trwa walka o byt. Obserwowanie i poznanie tego tajemniczego życia, tak różnorodnego, daje nam wędkarzom bez porównania więcej zadowolenia niż wam, zaskorupiali nieszczuchy, wysiadujące w zadymionych kawiarniach i bezmyślnie sączenie swej „pół czarnej“.

Nech parskną oburzeniem melomani i nazwą mnie profanem, gdy powiem, że wolę wsłuchiwać się w muzykę przyrody, wdychać pełną piersią rześką woń poranków, podziwiać ciągłą zmienność krajobrazu i, wpatrując się w przezroczystą toń naszych jezior i rzek, zapomnieć o codziennych troskach, niż siedzieć w natłoczonej i dusznej sali koncertowej. Nie chciałbym przez to powiedzieć, że nie lubię muzyki. Wprost przeciwnie. Żadna jednak sztuka nie odtworzy ani nastrojów, ani cudów natury.

Samo wyczekiwanie na branie, kiedy wędkarz pewien jest, że w pobliżu muszą być większe okazy, kiedy od czasu do czasu strzeli wyskakująca w pogoni za owadami grubsza ryba, wytwarza u wędkarza ten dziwny nastrój, którybym nazwał „emocją wyczekiwania“.

W takim właśnie nastroju trwaliśmy obecnie.

Drobnicy nie było. Groch i rakowa szyjka na wędkach, które co pewien czas kontrolowałem, nie były naruszone.

Sypnąłem małą garść grochu i czekałem dalej.

Z szuwarów wypłynęły dwie dziłkie kaczki. Nie zwracały wcale na nas uwagi, jakby wiedząc, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, że kije nasze nie wypalą. Dopiero gdy zrobiłem nagły ruch wędziskiem przy kontroli przynęty, nie śpiesząc się odplynęły dalej.

Jaskółki wysoko pruły zygzakami powietrze, a je-

woju wędy — ościenia — wideł powstała i udoskonalą się wędą — osęka — haczyk na lince.

Stopniowo osęka straciła ostrze grot. Narzędzie to zachowało swój dawny kształt, jako sprzęt pomocniczy wędkarza — duży hak z drutu stalowego umocowany na kiju. Służy on do wyciągania z wody złowionej wędką dużej ryby, zwłaszcza łososia, zamiast podsaczka (kasiorka), tak w Anglii jak i u nas.

Dalszy rozwój wędy — osęki spowodowało życie osiadłe w większych skupiskach.

W okolicy zamieszkałej, stale tępione ryby stawały się ostrożniejsze. By je osiągnąć wędą — osęką łowca musiał je przynęcać.

Obserwacja ryb, chciwie pożerających rzucony im pokarm, zaprowadziła człowieka na chytry pomysł, by w przynęcie ukryć zmniejszoną osęką (haczyk).

Osęczkę uczepił do mocnej nici wędnej, początkowo lnianej, później z włosia końskiego, tak jak to czynił on już z wędą — ościem. Opatrzył ją także w grzędło¹⁾ z kamienia (ciężarek), a następnie i pływak, w miarę potrzeby.

Wędzicę — osęczkę drewnianą — zastąpił z biegiem wieków lepszym haczykiem brązowym, a następnie żelaznym zadziorem.

Podobnie jak oścień zamienił się w ość, uzyskawszy większą ilość zębów z zadziarami, tak samo wędą otrzymywała coraz więcej haczyków na krótkich niciach, przywiązywanych w odstępach do linki konopnej.

Tak powstała wędą, którą pra-Słowianin łowił nie tylko ryby ale i ptactwo wodne. Zachowała się w tej samej postaci do naszych czasów służąc, do połowu łososi i jako sznur mocny na węgorze.

¹⁾ Albo grzędło od — grąże (pograżać).

V

Koniec linki, zarzuconej z czółna wędy, wiązał rybak na jeziorze do dużego pływaka z kory sosnowej, łowiąc zaś w rzece do gałęzi krzaków, nad brzegiem, by nie została odciągnięta zbyt daleko.

Przekonał się, że giętki pręt nie tylko zmniejszał siłę szarpiąc ryby, ale i silniej wbijał żądło haczyka w jej gardło.

Stąd już był tylko o krok do uzupełnienia narzędzia wędziskiem.

Połączenie prężnego kija z linką dało człowiekowi jednocześnie dwa narzędzia łowieckie wędkę i luk.

Wydaje mi się, iż początkowo wędzisko albo wędliśko to było krótkie, 1 — 1,5 m długości, z sęczkiem z rękojeści do nabijania nici wędnej kilkakrotnie dłużej.

Wędziska takie zachowały się w muzeach Szwecji i Norwegii.

Nic już istotnego nie przybyło do niej.

Boć i kołowrotek i błyszczka, jak i inne sztuczne przynęty z końca pióra gęsiego lub ómy ze skrzeli rybich były znane drzewiej.

Ryb było coraz mniej¹⁾. Rozwijały się więc różne rodzaje wierszy, wiewierzy i sieci.

Wędkarstwo stawało się coraz bardziej jedynie rozrywką i sportem.

I dziś pod nazwą wędki wyobrażamy sobie raczej piękne, nieraz cenne wędzisko, niż skromny haczyk — starożytną wędzicę.

ADAM BORKIEWICZ

¹⁾ Prof. Niszabitoński zbadał, że wśród pokarmów mięsnych naszych przodków ryby stanowiły tylko 4%.

szcze wyżej, pod szaf'rową kopułą nieba, nieruchomo tkwił jastrząb, wypatrujący zdobyczy.

Kaczki w poplochu skryły się w szuwarach. Zauważyły widocznie czatującego drapieżnika.

Pełen powagi spacerował po łące długonogi bocian. Zatrzymywał się kiedy niekiedy, trwał chwilę nieruchomo, stojąc na jednej nodze, kroczył następnie dalej, trzymając czerwony dziób, jak rapier gotowy do ataku. Nie znalazł widocznie smakowitych żabek, bo rozpostarł skrzydła i ociężale podniósł się z ziemi. Wyciągnął nogi wzdłuż ogona i poszybował tuż nad łąką, aż zniknął za przybrzeżnymi olchami.

Spojrzałem na rosnącą w pobliżu kępkę trzciny. Jakby uderzona przy korzeniach, konwulsyjnie drgnęła parę razy.

— Widziałeś — odezwał się p. Konstanty. — Jakiś prosiak rodzaju rybiego szwędą się wśród sitowia.

— Tam również... — rzekłem, wskazując w inną stronę.

Przeglądając się uważnie poruszającym łądogom można było określić kierunek posuwania się ryby.

— Idą w naszą stronę — zauważył p. Konstanty.

Chciałem coś powiedzieć, gdy p. Konstanty błyskawicznym ruchem poderwał wędzisko. Po łuku kija można było poznać, że zahaczył coś większego.

— Jaż — oznajmił mój towarzysz, podbierając rybę podrywka.

— Na groch?

— Nie. Na pastę.

Ryba zaczęła brać. Co pewien czas któryś z nas zaciągał mniejszą lub większą sztukę. Były to przeważnie duże płocie lub jazie, które brały na groch lub pastę.

Rakowa szyjka nie miała dotychczas powodzenia. Tłumaczyłem to sobie tym, że ryba przyzwyczajona do grochu, którym stale nęciłem, gardziła inną przynętą. Mało więc uważałem na wędkę z rakową szyjką i o mały włos nie przegapiłem pięknego brania. Nieruchomo stojący dotychczas szałwik nagle drgnął, kilka razy podskoczył i powoli zaczął pograżać się odpywając w stronę łąki.

Szybki ruch i jakaś silna ryba została zacięta. Próbowała ucieczki wśród łądog nenufarów, lecz starałem się wszelkimi sposobami do tego nie dopuścić. Ufny w swój sprzęt męczyłem ją prowadząc w kółko, aż udało mi się podciągnąć rybę do góry i dać połknąć powietrza. Do czółna prowadziłem po wierzchu, omijając wodorostry i po chwili miałem w podrywce piękny okaz złocistego lina, ważącego około półtora kilograma.

— Nareszcie się skusił — odezwałem się do p. Konstantego.

Spojrzałem w jego stronę. Z ręką na wędzisku, pochylony naprzód zamarł w bezruchu. Coś widocznie brało. Jeszcze chwila i wędzisko wygięło się pod ciężarem szarpiącej się ze wściekłością ryby. Wędka była

W obronie „patałachów”

(Dokończenie)

Oдноśnie walki z rybą, wiemy wszyscy, że na wodach nizinnych są stosowane wszelkie metody wędkarskie i każdy rodzaj taktyki. Czego nie można powiedzieć o wędkarstwie górskim.

Wędkarz nizinny posiada do swej dyspozycji bardziej różnorodną faunę wodną, co pociąga za sobą konieczność zapoznania się ze wszystkimi gatunkami ryb, przynęt, łowisk, metod i sposobów łowienia. (Salmonidy są też i w nizinnych wodach!), a tym samym prowadzi do wszechstronnego zapoznania się ze sztuką wędkarską, natomiast wędkarstwo górskie jest bardziej jednostronne, a więc prowadzi do specjalizacji w jednej metodzie, która przy osiąganiu nawet kapitalnych wyników, przeważnie tej samej ryby, może się stać z czasem zbyt monotonną i nudną.

Biegające szybko, szumiące, pieniące wody górskie, pozwalają pstrągarzowi na większą swobodę ruchów w podchodach, czy też brodzeniu, natomiast wody nizinne wymagają bezwzględnej ostrożności, ciszy i ukrywania się przed wzrokiem ryby, tak w podchodach, jak i w zasiadce.

Jeśli sprzymierzeńcem wędkarza nizinnego jest mętna woda, fala, czy wiatr, to tę nieco większą swobodę ruchów na brzegu, musi zastąpić on wzmożoną czujnością oraz zaostrzoną bystrością wzroku.

Wędkarz nizinny, czyhający w zasadce na karpia, czy klenia, to nie jakaś buddieska kontemplacja nad własnym pępkiem, to potencjalna, napięta do najwyższych granic uwaga i czujność oraz bystrość wzroku, aby błyskawiczną ripostą odpowiedzieć na atak ryby, a następnie przystąpić do holu, wymagającego nie mniejszej uwagi, pewności oka i ręki oraz szybkiej orientacji. O tym wiedzą dobrze wędkarze nizinni.

To samo dotyczy podchodów.

Bystrość oka nie jest zatem jakąś specjalną zaletą pstrągarza, która mogłaby go stawiać wyżej od in-

nych wędkarzy. Bystrość oka musi być jednakowa i wspólna wszystkim wędkarzom.

Idźmy dalej! Powiadasz, że wędkarze nizinni nie mają siły, wytrzymałości i wysportowanego ciała!

Gdyby naprawdę tak było, to smutną byłaby dola nas wszystkich, wędkarzy, spod znaku gruntówki. W rzeczywistości jest jednak trochę inaczej. Twierdzę, że właśnie pod tym względem wędkarze nizinni stoją w wielu wypadkach o wiele wyżej od górskich, lub dokonują takich wyczynów, o jakich pstrągarzom nawet się nie śniło.

Mówię to na podstawie mojej długoletniej praktyki wędkarskiej, gdyż od lat najmłodszych, po dzień dzisiejszy, uprawiam sport wędkarski nizinny.

Myliłby się, kto by sądził, że wędkarz nizinny, mieszkający nad rybną wodą, ma dobre łowiska zaraz pod nosem i może każdej chwili usiąść z wędką i wpastrywać się w spławik. W rzeczywistości są to wypadki wyjątkowe, potwierdzające regułę, że dobre łowiska są zwykle daleko i wymagają nieraz nawet kilkugodzinnych marszów lub jazdy wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji.

Kto zna ogromne przestrzenie nizinnych terenów, w jakich musi wędkarz nizinny staczać swą walkę z przyrodą, ten napewno nie będzie podrwiwał lub lekceważył ich siły, wytrzymałości i wysportowania ciała.

Jazda rowerem, koleją, wozem czy łodzią, marsze piesze, na przełaj po różnych „chaszczach, wertepach i debrach“, brodzenie po bagnach, trzęsawiskach, przedzieranie się przez gąszczą leśną, dzwiganie ciężarów (plecaki, sadyzki), akrobatyka nad urwiskami i zwisami brzeżnymi i wiele innych wyczynów, których wymienić nie sposób, a które są dobrze znane nie tylko samym wędkarzom, lecz nawet dość szerokiemu ogółowi, powinny więc być też znane i pstrągarzom.

w niebezpieczeństwie, gdyż coraz bardziej naddawał rybie pola, jednocześnie odczepiając łódź. Ryba uciekała w stronę głębi wolnej od wodorostów.

Widać było, że mój towarzysz zadowolony był z tego obrotu rzeczy, bo, nie starając się ryby zawrócić, wiosłem popychał łódkę w kierunku ucieczki ryby.

Kąt między wędziskiem a linką stawał się coraz większy i raptowny zryw ryby o mało nie porwał wędki. Tylko przytomność umysłu p. Konstantego nie dopuściła do tego. Wypuścił wędzisko z ręki. Ryba znajdowała się już na czystej wodzie, więc niebezpieczeństwo zaplątania się linki o wodorosty nie istniało. Wędzisko płynęło zwiększając szybkość i co chwila zanurzając się końcówką w wodzie.

Ja również zwolniłem czolno i popłynąłem w kierunku niezwykłego spławka. Byłśmy podnieceni. Walka z takim okazem nie często się zdarza.

Sledziliśmy uważnie pływające wędzisko i czekałśmy aż ryba nieco się zmęczy.

Po jakimś czasie kij zaprzestał swej wędrówki. Ostrożnie zbliżyliśmy się do niego, wiosłując jak najciszej. Kij był znówu w ręku p. Konstantego. Szarpnięcia były znacznie słabsze, lecz nie prędko udało mu się ruszyć rybę na powierzchnię.

— Bierz podrywkę — zwrócił się do mnie — będę się starał doprowadzić rybę do ciebie.

Chwyciłem podrywkę, a p. Konstanty holował rybę w moim kierunku. Szła zupełnie wyczerpana, ślizgając się bokiem po powierzchni wody.

— Niczego sobie jazik.

— Drobnostka, ale czy zmieść się tylko w podrywce? — wyraziłem swoje obawy.

Był już zupełnie blisko. Zacząłem naprowadzać podrywkę. Z wrażenia drżały mi ręce.

— Nie spiesz się! Powoli, powoli! — pouczał mnie p. Konstanty — bierz go od ogona!

Udało nam się wreszcie wpakować olbrzyma do siatki, lecz spokojny byłem dopiero, gdy ryba znalazła się w łódce.

Uważałem się przecież, pomimo młodych lat, za doświadczonego wędkarza, ale takiego egzemplarza jeszcze nigdy nie złowilem.

Z triumfem patrzyliśmy na leżącą u naszych nóg rybę o pożółkłych ze starości i przechodzących w odcień zielonkawy łuskach. Nie mogę ściśle określić jej wagi, lecz na pewno miała około 4 kilo.

— Wracamy chyba do domu, gdyż na dzisiaj wystraszyliśmy całą rybę. Zresztą już późno.

Słońce już zaszło i podnosiła się mgła.

Rzuciliśmy parę garści grochu i wracaliśmy w wysmienitych humorach.

Inż. arch. A. Zdanko

Jeśli do tego dodam, że te wyczyny dokonywane są przeważnie na rozmokłych gruntach, drogach i ścieżkach, o świcie, zmroku czy nocą, po rosie, czy po deszczu lub w czasie deszczu, w chłodzie i wietrze lub burzy, zdala od osiedli ludzkich, to łatwo zrozumieć, że o wytrzymałości, sile i wysportowaniu mogą też coś powiedzieć wędkarze nizinni.

Na tle tych zmaganiń wędkarza z przyrodą, powstały dosadne i lapidarne przysłowia ludności rusińskiej, jak np.: „rybacze — życie sobacze“ (życie rybaka — to psie życie) lub „rybak sochne, wudka mokne“ (rybak schnie (chudnie), wędkę moknie) i inne.

Jeśli powiesz, że Ty też taką samą walkę staczasz z przyrodą górską, to jesteście sobie równi i kole-dzy spod znaku wędziska.

Ale tu wspomnę jeszcze o jednej rzeczy, może mniej Tobie znanej i koniecznej, ale za to dobrze znanej wędkarzom nizinnym, a jest nią **w i o ś l a r s t w o**.

Jakie ma ono znaczenie w sporcie i jak doskonale gimnastykuje ciało wędkarza, o tym chyba pisać nie potrzeba. A na wodach nizinnych jest ono konieczne i każdy prawdziwy wędkarz jest doskonałym wioślarem.

Wiosłować powinien umieć każdy wędkarz nizinni, bo tego wymaga nie tylko ta lub inna metoda, czy taktyka łowiecka, ale po prostu zmusza go do tego konieczność pokonywania żywiołu wodnego, z którym ma ciągłą styczność.

Nie tylko same dojazdy do łowisk są celem posługiwania się łodzią. Są jeszcze i inne przyczyny, które zmuszają wędkarza do użycia łodzi w wyprawach po zdobycz.

W wodach górskich używanie łodzi nie jest konieczne, albo też jest ograniczone do wyjątkowych wypadków.

A wiosłowanie to wytrzymałość i doskonale wyrobione mięśnie rąk i nóg, sprawność w utrzymaniu równowagi, odwaga i wiara w swe własne siły, to swoboda i wolna droga w szeroki świat rybnych wód!

Wierzę, że jesteś silny i odważny, ale wątpię, byś płynąc przez szerokie wody rzeki na jakiejś dłubance, czajce, czy inne „duszehubce“ i mając pod sobą kilkumetrową głębię, nie miał uczucia lęku, niezaradności i zwątpienia i czy nie żałowałbyś tego, żeś odbił od brzegu.

My, wędkarze, nizinni nie znamy tej obawy. Poznaliśmy i pokochaliśmy ten żywioł wodny i nie jest on dla nas groźny, bo umiemy nie tylko wiosłować, ale potrafimy też **plywać**.

Jest to druga zaleta wędkarzy nizinnych, ważniejsza może od pierwszej. Bo, ostatecznie, do podjazdów łodzią, można sobie kogoś wynająć, ale pływania zastąpić się nie da. I dlatego każdy szanujący się, prawdziwy wędkarz, uprawia sport pływacki.

W czasie mojej długoletniej włościwej po rybnych wodach nie zdarzyło mi się spotkać prawdziwego wędkarza nizinnego, któryby pływać nie umiał.

Są między nimi nieraz mistrzowie sztuki pływackiej, są i „patałachy, lecz każdy z nich potrafi utrzymać się na powierzchni zdradliwej wody i to wystarcza, aby się nie stać ofiarą groźnego żywiołu.

Jaki wpływ ma ten rodzaj sportu na organizm człowieka, wie chyba każdy człowiek.

Dziś w perspektywie czasu i oczekującej mnie emerytury wędkarskiej, nie bez wzruszenia wspominam te piękne i nieraz jakżeż awnturnicze przygody i przeczyca nad rybną wodą.

Cóż znaczyła dla wędkarza głębokość lub szerokość rzeki, kiedy z jakichś powodów chciał przerzucić się z jednej strony na drugą? A przecież nieraz był to

ryzykowny wyczyn, kiedy wędkarz, unosząc jedną ręką ponad powierzchnią wody cały swój dobytek w postaci garderoby i sprzętu, jednoręcznym „crawlem“ śmiało sterował ku drugiej stronie rzeki.

Ileż emocji dawała pogoń za wędką, wyrwaną z brzegu przez silną rybę lub celowo puszczoną z ręki, gdy sprzęt był zagrożony?

Bywały wypadki, że wędkarz, nie mając zapasowego przyponu przy sobie, nurkował nieraz na kilkumetrowej głębi, aby uwolnić tkwiący w zaczepie podwodnym haczyk lub nurkując, wydobywał z dna bryły ziemi w poszukiwaniu larw jętki na przynętę.

To też, Kolego silny i wytrzymały, jeśli zdarzy Ci się taki wypadek, że zsuniesz się z brzegu do ruchliwego strumyka górskiego lub wykopyrtniesz się na oślizgłym gładzie podwodnym, to nie mów nam, głizdziarzom, o doskonałe wygimnastykowanym ciele, lecz po prostu powieś spodnie na jakiejś przybrzeżnej jodełce, by przeschyły i — jeśli nie umiesz pływać — bądź zadowolony, że ten twój kontakt z mokrym żywiołem nie zdarzył ci się np. na Bugu, i śmigaj muchówką dalej!

Jeśli powiadasz, wędkarzu górski, że „nas, ludzi z nizin, zawsze pociągały i pociągać będą te srebrne, wiecznie niespokojne ruchliwe strumienie górskie“ itd., to jestem przekonany, że raczej „jednoogólnie“ mówisz o tych ciągotech swoich strumyków górskich, bo nas wędkarzy z nizin pociągają silniej nasze rozlewne, ciche, spokojne, wody.

I piszesz dalej: „... o siedzeniu na brzegu strumienia, o cierpliwym patrzeniu na spławik — nie ma mowy. Pstrągarz musi być w ciągłym ruchu“ itd.

Te tchnące dynamiką słowa zdają się mówić: podnieście głowy z nad waszych spławików i patrzcie na ruchliwą taktykę pstrągarza, oto gdzie szum, gdzie zakręt i piana, gdzie wir, gdzie itd. — tam pstrągarz, muchówka i ruch!

Nie będę się powtarzał, bom już wszystko na temat metod i taktyki wędkarskiej prawie powiedział — my wędkarze nizinni znamy podchody i zasiadki i je stosujemy. Nie obca jest nam żadna metoda połowu i musimy się stosować do wymagań naszych rybnych wód i przypuszczamy, że pstrągarz nie musi być w ustawicznym ruchu, bo kiedy miałby czas na łowienie Salmonidów?

Stanąłem jednak przed trudniejszą zagadką!

Oto na tle cudnej przyrody górskiej pstrągarz ma możliwość oglądania wilków i niedźwiedzi, mając za starych sąsiadów sarny i jelenie.

Zadumałem się głęboko! U nas w krainie leszcza jest pod tym względem gorzej!

Czy zwierzęta są oswojone i łaskawsze, czy pstrągarz się myli?

Przyznaję ci rację, wędkarzu górski, gdy mówisz, że tło i otoczenie dodaje największego uroku temu sportowi, ale nie zgadzam się, gdy mówisz, że to właśnie „stawia go bardzo wysoko w stosunku do innych“.

Pojęcie i rozumienie piękna przyrody jest rzeczą względną, zależną od subiektywnej oceny i odczucia tego piękna.

Gdybym to samo zdanie wypowiedział w odniesieniu do wędkarstwa i krajobrazu nizinnego, trudno byłoby mi udowodnić, że nie mam racji. Są to bowiem dwa odrębne i charakterystyczne obrazy przyrody, stworzone ręką tego samego Stwórcy.

Słońce świeci jednakowo dla wszystkich wędkarzy, jednemu oświeca góry, lasy i strumienie górskie, drugiemu niziny, bory i wstęgi rzek i lustra jezior.

Góral zrzucony losem na niziny nigdy nie przestanie tęsknić za swoimi górami, mieszkaniec nizin będzie się

czuł w górach nieswojo i będzie narzekał, że mu góry widok zasłaniają, ale jeden i drugi, każdy ma swój sposób, będą opisywali i chwaliли piękno swych rodzinnych stron i obaj będą mieli słuszość.

Nie będę się silił na jakieś barwne opisy piękna i uroku nizinnych krajobrazów na tle wód i lasów zwłaszcza w porze poczynającego się lub gasnącego dnia, bo czuję, że nie potrafiłbym stworzyć tak wernych i cudnych obrazków przyrody, jakie nam daje nasz mistrz. F. Choynowski w swym „Wędkarstwie na wodach polskich“ oraz w tak wielu artykułach drukowanych w Wiadomościach Wędkarskich. Są to istne cacka pięknej literackiej formy, tchnące czarem i bezpośredniością przeżywanym nad rybną wodą wrażeń.

Czytając te przepiękne fragmenty przeżyć i wspomnień wędkarskich, odczuwa i rozumie, że pisać je nie tylko mistrz wędziska ale i pióra. I dlatego z niecierpliwością czekamy na jakieś „pamiętniki wędkarza“, włóczęgi po rybnym wodach, czy coś w tym rodzaju, bo my chcemy całość, a nie fragmenty mistrzu!

W zakończeniu kilka słów pod adresem Autora artykułu „Wędkarstwo to sport bez skazy“.

Artykuł ten posłużył mi jedynie za pretekst do wystąpienia w obronie wędkarstwa nizinnego. Uwagi moje są raczej apelem skierowanym do wszystkich wędkarzy, którzy uważają wędkarstwo nizinne za sport niższej klasy i tym samym szkodzą świadomie lub nieświadomie całości sportu wędkarskiego, dzieląc go na dwie rzekomo nierównorzędne grupy.

Bezzasadność takiego klasyfikowania wędkarzy starałem się wykazać, może nieudolnie w niniejszym artykule.

Jesteśmy kolegami z pod znaku wędziska, nie ma między nami wyższej, czy niższej klasy sportowców. Wszyscy musimy się kierować tą samą etyką łowiecką i jednakim ukołchaniem naszego sportu bez względu

na to, w jakim terenie jesteśmy i jaką taktyką i metodą się posługujemy.

Nie szukajmy sztucznych różnic podziału, bo tylko w jedności, we wzajemnym zrozumieniu się i współdziałaniu leży siła i przyszłość naszego pięknego sportu!

Daruj, jeśli czasem jakieś gorzkie słowo lub zgryźliwe wyszło spod mego pióra. Piszę te słowa, a raczej tę moją obronę „patałachów“ i widzę przed sobą „krai-nę wiecznych łowów“.

Po kościach i stawach chodzą wszelakie darcia i łamania, jak to zwykle bywa u starszych ludzi, a moje serce płacze rzewnymi łzami, gdy czytam o sukcesach kol. kol. Choynowskiego, Sowińskiego, Wendołowskiego i wielu, wielu innych odnoszonych w krainie leszcza.

Losem rzucony w krai-nę brzany i częściowo pstrąga, już cztery sezony wędkarskie spędziłem nad tą piękną rybną wodą, a moje wyniki łowów są więcej niż marne, bo tylko okonki, cyrty, świnki. Czasem tylko jakaś samobójcza brzana lub szczupak są moją zdobyczą.

Zadnego Salmonida nie tylko nie złowiłem, ale nawet jego królewskiego ogona nie widziałem, choć łowię, jak mówi Cycoń w artykule „Szczupak zawinił“ w N-rze 1/48 WW“, na różne muszki, kołowrotki, szpi-klingi, piklingi i różne pieski angielskiej sztuki.

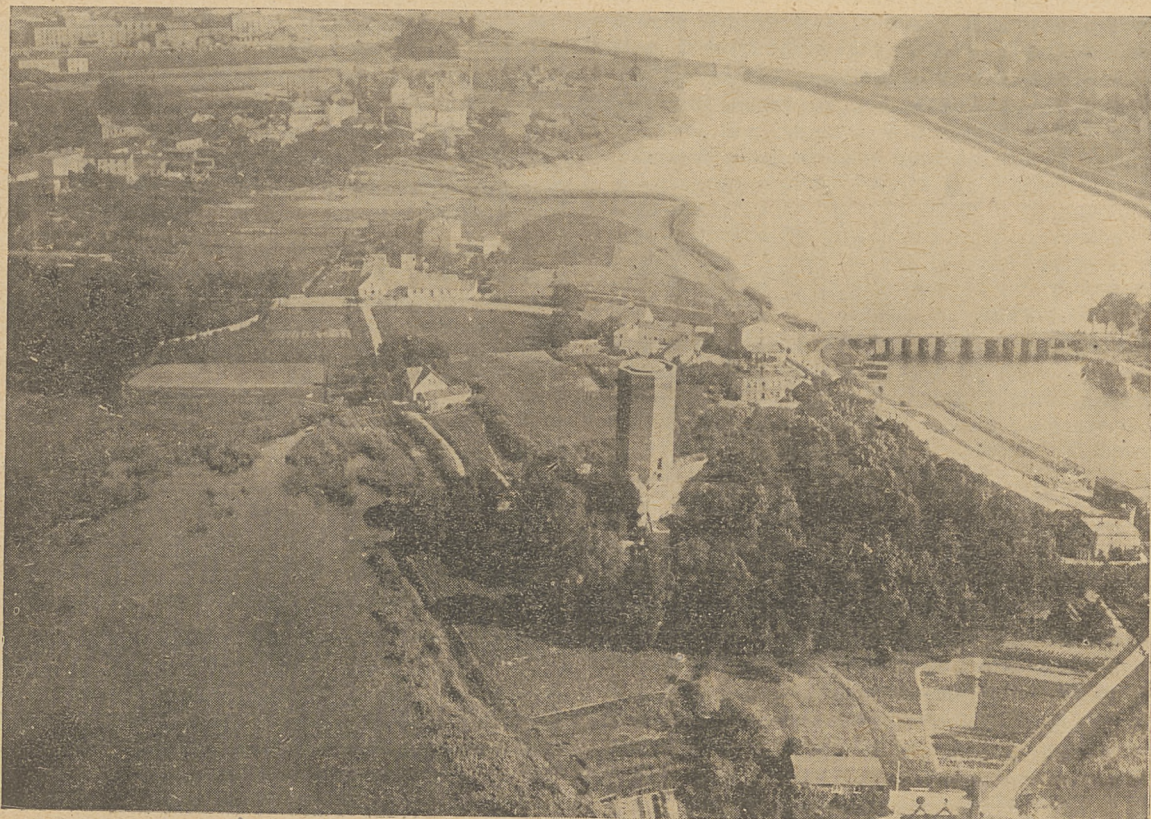
W nadchodzącym sezonie nie zapowiada się żadna poprawa, bo nawet na okonia już liczyć nie mogę z uwagi na bojkot wędkarzy, ogłoszony przez to garbate plemie na skutek artykułu „Ryba — ulicznik“, którym poczuł się dotknięty cały chytry ród okoni.

Pozostają mi tylko cyrty czasem brzana, czy szczupaczek, a wreszcie świnki (akcja „H“).

I dlatego śnią mi się tamte wody...!

O doloż moja oplakana w tej krainie brzany. Spróbuję jeszcze „chlustem“...

ANTONI ŚWIĘCICKI



Jezioro Gopło koło Kruszewicy

Z prasy i wydawnictw

Ostatnie dwa numery (Nr 3—4 i 5) Przeglądu Rybackiego przynoszą nam cały szereg interesujących wędkarzy artykułów.

Podwójny Nr 3 — 4 za marzec — kwiecień rb. poświęcony został całkowicie Wiśle. W związku z projektowanymi pracami regulacyjnymi prowadzone są biologiczno - rybackie badania rzeki.

Numer rozpoczyna się artykułem prof. dr Franciszka Staffa. Wyjaśnia on konieczność badania warunków naturalnych rzek, celem planowania na nich odpowiedniej gospodarki rybackiej. Dowiadujemy się z niego o istnieniu jeszcze młodej, a u nas bardzo młodej nauki, nazwanej „potamologią“ („potamos“ po grecku rzeka).

Następnie dr. St. Sakowicz daje krótki zarys historii powstania idei przeprowadzenia badań hydrobiologiczno - rybackich na Wiśle.

A dalej następuje szereg artykułów, stanowiących wyjątki z obszerniejszych prac, pracujących w tym kierunku osób, których zasadniczym tematem jest sprawa odżywiania się różnych gatunków żyjących w Wiśle ryb, głównie leszcza, certy, brzany i krapia.

Wszystkie te artykuły powinny być czytane z dużym zainteresowaniem przez wędkarzy sportowców, zwłaszcza tych, którzy łowią na Wiśle

Nr 5 Przeglądu Rybackiego, zawiera między innymi artykuł in. M. Gierałtowskiego, który obszernie omawia sprawę budowy ośrodków zarybieniowych dla sandacza. Temat bardzo interesujący, tym więcej, że autor kończy go opinią, że miara ochronna dla sandacza powinna być podniesiona do 45 cm, co mniej więcej odpowiada wadze 1 kg.

Dr. E. Grabda pisząc o problemie zarybienia wód pomorskich i kontroli sanitarnej nad jego przeprowadzeniem, podaje piękne określenie „Nie ten rybak, co łowi, a ten, co umie wyhodować rybę“. Jest ono słuszne nie tylko w odniesieniu do rybaków, ale i do wędkarzy. Ale jak często zarówno przez pierwszych jak i drugich jest niedoceniana wzgl. niestosowana zasada.

Na tle rozpoczętego w tym numerze artykułu inż. J. Paschalskiego o gospodarce łososiowej na Wiśle nasuwa się przypuszczenie, że zainteresowania nasze w gospodarce łososiowej prawie wcale nie wychodziły poza obręb Wisły, chociaż możliwości bywały i są też i inne. Jako przykład niech służy dawniej rzeka Zejmiana, a dzisiaj Odra i Warta.

W swoim czasie powiadomiliśmy naszych czytelników o ukazaniu się pracy E. Grabdy i J. Żelechowskiej „Rybak w służbie ochrony przyrody“, wydanej przez Państwową Radę Ochrony Przyrody jako Nr 69.

Chcemy obecnie o tej pracy przypomnieć i podkreślić, że powinna ona znaleźć się w rękach każdego wędkarza, a przynajmniej w dostępnej dla członków biblioteki każdego Towarzystwa Wędkarskiego. Ze względu na niską cenę (80 zł.) nabycie tej książeczki nie będzie przedstawiało żadnych trudności.

Na treść składają się 4 rozdziały, a mianowicie, 1. co to jest ochrona przyrody, 2. o tak zwanych „szkodnikach“ i stosunku rybaka do nich, 3. ochronne przepisy rybackie, 4. rośliny i zwierzęta chronione.

Treść wszystkich tych rozdziałów winna zainteresować wędkarza, a zwłaszcza treść pierwszego. Wędkarz, który potrafi cenić piękno przyrody, powinien wiedzieć, co się w tym kierunku robi i co czynić należy.

W. C.

Piękna i pożyteczna książka

Życie bez przygód jest jak wiosna bez kwiatów, jak niebo bez słońca, jak rzeka bez fali i jak ziemia bez uśmiechu. Przygoda czaruje nas i zachwyca — jak kwiat, jaśnieje — jak słońce, porywa — jak fala, upaja i uskrzydla... I dlatego wszyscy od małego dziecka śnimy bezustannie o mającej nadejść przygodzie... Dla jednych jest ona królową z bajki, strzeżoną przez potężne i okrutne smoki, dla innych jest rycerzem bez lęku, który przybywa niewiadomo skąd, by unieść nas na rozpędzonym rumaku w krainy nieznane...

Cóż byłoby warte życie ludzkie, gdyby w nim nie było żadnej przygody? Byłoby martwe, jak strumień zakuty zimą w lodowaty pancerz, bez nadziei mającej nadejść wiosny, która roztopia lody i strumieniom szaleć pozwala...

(Julian Ejsmond).

Taką wymarzoną przygodą dla nas ludzi pracy jest każda nasza wyprawa wędkarska.

Myliłby się każdy, któryby twierdził, że „przygoda“ nasza zaczyna się dopiero nad wodą, gdy śmigła ryba szarpnie wędziskiem.

Już w przeddzień wyjazdu duchem gościmy nad łowiskiem.

O jakże dłuży się ostatnia noc przed udaniem się na łowy...

Sen dziwnie staje się przerywany, niespokojny...

W krótkich chwilach sennego omdlenia śnimy, że wreszcie jesteśmy na miejscu, nad rzeką i zaczynamy wędkować...

Wreszcie nadchodzi godzina odjazdu i aż do przybycia nad łowisko świat zewnętrzny nic nas nie obchodzi, dziwnie kurczy się i maleje. Zapominamy wtedy o codziennych naszych troskach, nie zwracamy uwagi na otoczenie. Jedziemy przeniknięci jedną myślą — jak najszybciej dotrzeć na rybne wody, aby tam przeżyć jeszcze jedną cudną „przygodę“.

Ale... aby tej okazji nie zaprzepaścić należy umieć czytać w księdze przyrody!

I tym właśnie podręcznikiem nieocenionym, który nie tylko uczy nas, jak łowić i gdzie łowić, ale przejrzyście i przykonywująco wyklada prawa natury, jest drugie wydanie książki Feliksa Chojnowskiego „WĘDKARSTWO NA WODACH POLSKICH“.

Napisana pięknym językiem, przez doskonałego u nas mistrza sztuki wędkarskiej, wprowadza do naszej terminologii wędkarskiej szereg niebywale trafnych nowych określeń, w zamian obcych wyrazów.

Obszerny materiał, gwoli przejrzystości, autor podzielił na trzy części, z których pierwsza poświęcona jest wyczerpującemu opisowi sprzętu wędkarskiego, przynęt i daje wskazówki, jak wędkarz winien zachowywać się nad rybną wodą. Druga oma-

wia różnego rodzaju metody wędkarskie z uwzględnieniem połowu ryb drapieżnych i metody rzutowo-obrotowej oraz połowu ryb łososiowatych, na rzutówkę muchową. Trzecia zajmuje się opisem ryb naszych wód i sposobem ich połowu.

Całość bogato ilustrowana, (ponad półtorej setki rycin), względnie nie tylko połowy na wodach nizinnych, ale i na rzekach podgórskich.

Adept znajdzie w niej niewyczerpaną skarbnicę wiedzy wędkarskiej — wytrawny wędkarz nieomylnie rozstrzygnięcie wielu wątpliwości i źródło wytchnienia w czasie zimowych, długich wieczorów.

Można wracać do niej stale i zawsze znaleźć w niej coś nowego!

Winna ta książka się znaleźć w biblioteczkach każdego wędkarza — sportowca!

Nie zaniedbujmy więc okazji jej nabycia, bo ma-luczko, a jej nie znajdziecie na półkach księgar-skich.

Kal.

Lasy Państwowe uznały potrzebę zrzeczenia się Wędkarzy

P. t. tytułem ukazał się w miesięczniku „Las Polski“ Nr 4 r. b. artykuł kol. inż. S. Dowhyłuka z datą 10.III.49 r., interesujący niewątpliwie szerszy ogół wędkarzy, któremu wspomniane wydawnictwo nie jest dostępne, dlatego Redakcja uważa za celowe i użyteczne przedrukować wspomniany artykuł w „WW“ w pełnym tekście.

Na tym miejscu pragniemy podkreślić, że nadzieje kol. inż. Dowhyłuka spełniły się w bardzo krótkim czasie, gdyż wyszły już odgórne zarządzenia wprowadzające obowiązek zrzeczenia się miłośników sportu wędkarskiego w Sportowych Towarzystwach Wędkarskich, które z kolei winny być członkami ogólnopolskiego Związku S. T. W.

Przypominamy tu rozporządzenie Ministerstwa Rolnictwa i R. R. z dnia 22.III.1949 r. Nr. PR. ZVI-9/5/49 drukowane w Nr. 4 „WW“ r. b. oraz rozporządzenie Ministerstwa Leśnictwa z dnia 29.IV.1949 zn. V/Ryb/423/17, które zamieszczamy w niniejszym numerze „WW“.

Redakcja „WW“

W związku z wydaniem w 1948 r. przez Ministerstwo Leśnictwa nowych formularzy umów na dzierżawę rybołówstwa, w których ustalone zostały dogodniejsze dla rybaków warunki płatności czynszu dzierżawnego (na miejsce rat półrocznych wprowadzono kwartalne), notujemy bardzo pozytywny fakt dla zorganizowanego wędkarstwa. Mianowicie nowa umowa dzierżawna przewiduje, że dzierżawca rybołówstwa na wodach Lasów Państwowych może wydawać zezwolenia na sportowy połów ryb wędką, w ilości uzgodnionej z właścicielem wody, tylko takim wędkarzom, którzy są czynnymi członkami Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Faktem tym został stworzony precedens dla analogicznego załatwienia sprawy i na innych wodach. Ma to kapitalne znaczenie dla sportu wędkarskiego, gdyż jest pierwszym konkretnym krokiem w kierunku zlikwidowania dzikiego wędkarstwa, a w konsekwencji

podporządkowania wszystkich amatorów łowiectwa wodnego odpowiedniej organizacji.

Zapełniona więc została choć w części dotkliwa dla wędkarstwa luka w obowiązującym obecnie ustawodawstwie rybackim,

Dotychczasowy brak odpowiednich przepisów, likwidujących dzięki wędkarstwo, powoduje duże trudności w działalności wielu S. T. W., a w licznych wypadkach uniemożliwia ich rozwój.

Dla wielu wędkarzy, nierozumiejących istotnej roli i znaczenia Sportowych Towarzystw Wędkarskich, zrzeczenie się jest tylko ciężarem, gdyż powoduje konieczność, opłacania składek, przestrzegania przepisów organizacyjnych i regulaminów, brania udziału w pracach Towarzystwa itd. Nie widzą oni natomiast drugiej strony medalu — pozytywnej działalności w kierunku podniesienia poziomu sportu, tak pod względem technicznym, jak i moralnym oraz społecznym, jak również nie doceniają pozytywnych wyników walki z kłusownictwem wodnym i osiągnięć o dużym znaczeniu hodowlano - gospodarczym, wyrażających się w prowadzeniu na wysokim poziomie licznych wylęgarni i ośrodków zarybieniowych, w corocznym zarybianiu wielu tysięcy ha jezior, rzek i strumieni i racjonalnym zagospodarowaniu dzikich wód.

Wędkarze ci, mając możliwości wędkowania bez konieczności należenia do S.T.W., nie tylko, że nie poczuwają się do obowiązku współdziałania dla dobra całości wędkarstwa, ale z reguły szerzą szkodliwą propagandę, pociągają innych nieświadomych „łowców rybiego mięsa“ (bo trudno ich nazwać sportowcami), a jednocześnie zniechęcają często zorganizowanych wędkarzy oraz rozbijają pracę i wysiłki S.T.W.

Dzisiaj możemy z całą świadomością postawić tezę, że wędkarz zorganizowany jest pionierem kultury, natomiast wędkarz dziki jest najczęściej nosicielem ludzkiego barbarzyństwa, które nieraz jest gorsze od zwierzęcego. Dowodem słuszności tego stanowiska są wielomilionowe rzesze zorganizowanych wędkarzy Anglii i Francji oraz liczące setki, a co najmniej dziesiątki tysięcy członków Sportowe Towarzystwa Wędkarskie innych krajów Europy, prowadzące skuteczną walkę z kłusownictwem wodnym.

Wspomnianym aktem Lasy Państwowe uznały wędkarstwo za sport użyteczny i celowy, który winien być dostępny dla najszerzych mas pracujących, gdyż zapewnia rozrywkę, wypoczynek po pracy i zdrowie, z drugiej strony L. P. dały wyraz właściwej oceny znaczenia i istotnej pozytywnej roli Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Nie ma wątpliwości, że w najbliższym czasie resort leśnictwa zastosuje odnośny przepis nie tylko na obiektach dzierżawionych, ale również na wodach, pozostających w bezpośredniej administracji L. P. Zwiastunem tego może być przykład z terenu Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Bałtyckiego, która już od roku 1947 przepis ten wprowadziła i była głównym inicjatorem uregulowania tej sprawy na terenie L. P. całego państwa.

Analizując zagadnienie dochodzimy do wniosku, że resort leśnictwa nie ogranicza się tylko do biernego wzgl. sporadycznie aktywnego tzw. „popierania“ działalności Sportowych Towarzystw Wędkarskich, a rozwiązuje sprawę generalnie, oddając im całkowitą władzę nad wędkarzami na swych wodach. Nie ma wątpliwości, że postępuje słusznie. Jasnym jest bowiem, że żadna instytucja, czy urząd nie jest w stanie przeprowadzić w tak skuteczny sposób walki z kłusownictwem wodnym, jak mogą to uczynić właśnie organizacje wędkarskie, gdyż przede wszystkim sami wędkar-

rze najlepiej są zorientowani, kto, kiedy i jak kłusuje. A na zrzeszonych wędkarzach ciąży organizacyjny obowiązek zwalczania kłusownictwa, co zresztą czynią również i we własnym interesie.

Zajęte przez Lasy Państwowe stanowisko zobowiązuje w całym tego słowa znaczeniu wszystkie Sportowe Towarzystwa Wędkarskie do utrzymania odpowiednio wysokiego poziomu moralnego swych członków. Utrwalenie i wzmocnienie pozyskanego zaufania przez S.T.W. w Lasach Państwowych przyniesie na pewno dalsze korzyści dla wędkarstwa, co najmniej w postaci otrzymania odpowiednich terenów na dogodnych warunkach.

Ponieważ wędkarstwo ma dużo cech wspólnych z łowiectwem, gdyż obie dziedziny rządzą się niemal identycznymi przepisami i zasadami, a przede wszystkim pochodzą z tego samego źródła i wspólnym ich terenem działalności jest ta sama natura — należy liczyć, że leśnicy, którzy stanowią główny człon społeczeństwa myśliwskiego najłatwiej zrozumieją miłośników łowiectwa wodnego. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że wielu spośród myśliwych i leśników jest jednocześnie zamiłowanymi wędkarzami. Wydaje się, że na tym fakcie mogą S.T.W. dużo budować na przyszłość.

Należy podkreślić, że poza łowiectwem wędkarstwo ma również inne punkty styczności z leśnictwem, a na pierwszym planie w zakresie zagospodarowania nieużytków, wprowadzania kultury tam, gdzie działalność gospodarcza nie daje efektów.

Tam wszędzie, gdzie uprawa rolna nie rentuje się, wkracza leśnik z akcją zalesieniową. Dzisiaj właśnie wielkie przestrzenie nieużytków, leśnik zalesia i takie grunty, gdzie nawet i gospodarka leśna nie daje bezpośredniego dochodu.

Analogiczną rolę spełniają Sportowe Towarzystwa Wędkarskie na licznych nieużytkach wodnych, gdyż tam przede wszystkim staje do pracy S.T.W., gdzie działalność gospodarcza rybacka nie może być prowadzona na skalę przemysłową. Wszystkie niemal nasze rzeki, za wyjątkiem ich dolnego i częściowo średniego biegu, strumienie i strumyki, mniejsze odosobnione jeziora i stawy — to właściwy teren działalności wędkarzy.

Nie znaczy to bynajmniej, że dla należytego rozwoju

ju i pełnej działalności S.T.W. nie mogą one dysponować w uzasadnionych wypadkach większymi obiektami, np. przy znacznie większych skupiskach ludzkich, lub miejscowościach specjalnie nadających się na wczasy pracownicze, gdyż tam właśnie odpowiednie tereny wędkarskie winny być wyłączone z normalnej gospodarki, jak to ma np. miejsce z lasami w okręgach przemysłowych i silnie zaludnionych.

Zainteresowania leśnictwa zbiegają się z działalnością S.T.W. również w zakresie ochrony przyrody, opartej o wspólne umiłowanie natury.

Przed wszystkim leśnik i myśliwy, rybak i wędkarz, którzy z tytułu swego obowiązku lub zamiłowania docierają do najbardziej odludnych i dzikich zakątków lasów, gór i wód, tych pozostałości — pomników nieskażonej ludzkim barbarzyństwem przyrody, mają wspólny obowiązek organizacyjny i moralny służenia jej w myśl szczytnych idei ochrony.

Ta wspólnota zainteresowań, jak również często i aktywnej roli jest najsilniejszą podstawą do harmonijnego współdziałania na przyszłość.

Obecnie, jeżeli inni dysponenci wód śródlądowych, a więc. Ministerstwo Rolnictwa i R. R., P.N.Z., Urzędy Wojewódzkie i Starostwa, Ministerstwo Żeglugi (na przymorskich zalewach rzecznych), następnie samorządy i prywatna własność pójda generalnie śladami re-sortu leśnego, czego w obustronnym interesie wędkarstwa i właścicieli wód należy się spodziewać to usunięta zostanie raz na zawsze dotkliwa bolączka, hamująca dotychczas wybitnie należyty rozwój sportu wędkarskiego.

Sprawa powyższa jest ważna i pilna, gdyż sport wędkarski w dobie obecnej w Polsce rozwija skrzydła do szerokiego lotu w dążeniu do umasowienia się wśród najszerzych rzesz ludu pracującego, który zdobył prawo do korzystania w pełni nie tylko z dorobku kultury i techniki, ale również z przyrodzonych darów natury, jakimi są słońce, woda, świeże powietrze i piękno przyrody, dające odrodzenie sił moralnych oraz wypoczynek i zdrowie, stanowiące fundament w walce o większą wydajność pracy i lepsze jutro.

Szczecinek, 10.3.1949 r.

Inż. S. Dowhyłuk.

Ukazał się już czerwcowy numer

»PRZEGLĄD RYBACKI«

ORGAN ZWIĄZKU ORGANIZACJI RYBACKICH R. P.

Redakcja i administracja Warszawa, Zajązkowska nr 9

ŻARŁOK*)



Śmierć tokarza

Po ostatniej swej przygodzie, „Żarłok“ w niczym nie zmienił dotychczasowego swego trybu życia.

Nadal czuł się, wśród otaczających go wód, najsilniejszym stworzeniem, dla którego w jeziorze nie było godnego przeciwnika. Drobne, tchórzliwe rybki budziły w nim zainteresowanie tylko wówczas, gdy odczuwał głód.

Ostatnia walka z rybakim, która skończyła się dla niego tak szczęśliwie, nie wzbogaciła jego doświadczenia. W dalszym ciągu nieznanne mu były chytre narzędzia człowieka, służące do łowienia ryby.

Bezsprzecznie stał się więcej ostrożnym i nieufnym.

Zmąsły miał bardziej, niż dawniej wyostrzone.

Zawsze odtąd, kiedy wyczuł plusk wiosła, natychmiast szukał schronienia w swej kryjówce i przez szereg wielu godzin tracił ochotę do żerowania.

A przecież niedawno bez obawy zbliżał się do cienia czołna.

Minęły jednak te dni już bezpowrotnie!

Ważył ponad 8 kilogramów. Mierzył jeden metr i ćwierć. A płetwę grzbietową miał szeroką, jak dwie dziecinne dłonie.

Przy spokojnej, średniej fali czuł się dobrze. Żle znosił burze. Wtedy to zatrzymywał się przy samym dnie największej głębiny, gdzie nie dochodził go szum grzywaczy, a woda była spokojna i niezmacona.

Długotrwałe wichry sprawiały mu fizyczny ból. Czuł się chorym, niedołącznym. Nie odczuwał głodu. Nic nie było go w stanie wyrwać z letargicznego snu i zobojętnienia na wszystko, co się wokół niego działo.

Wypoczywał jego system nerwowy, wiotczały prężne mięśnie.

W takich chwilach nawet przebiegły tokarz nie potrafiłby go zwabić najwyszukańszą przynętą;

A drobnica, jak nigdy, mogła bezkarnie ocierać się swymi srebrzystymi tułowiami o jego wydłużony i groźny pysk.

Dopiero z nastaniem pogody, gdy przeminęły porywiste wichry, „Żarłokowi“ wracało życie. Krew

nabierała żywszego tętna, odzywało się w nim straszne pragnienie głodu.

* * *

Stary tokarz, jak zwykle samotnie siedział w łodzi, zakotwiczonej na ulubionej przez niego piaszczystej ławicy, ciągnącej się od lesistego brzegu, hen w głąb jeziora. Miejsce to obfitowało we wszelkiego rodzaju ryby.

Pykając z krótkiej fajeczki, z czułością przyglądał się swemu nowemu sprzętowi: grubym linkom, wyciągniętym, jak struny, krzepkim wędziskom, lśniącem w słońcu czerwienią lakieru.

Ciszę przerywały tylko ostre skrzeczenie nurów i wrzaski mew...

...Nadpłynęła z południa mleczna, strzępiasta chmura i przesłoniła słońce.

Natychmiast zerwał się gwałtowny wicher.

Jezioro pokryło się tysiącami grzebieniastych fal i takąż ilością bruzd i rozpadlin.

Woda zaczęła zalewać małe czołno tokarza.

Wyciągnął więc kotwicę, podniósł żagiel i zatrzymał się dopiero przy brzegu, porośniętym gęsto starodrzewem.

...A gdy słońce znów wyrzało, uciszyły się wody jeziora.

Tokarz powrócił na dawne łowisko.

I, jakgdyby przezuwając tego dnia obfity połów, zanucił dawno przez niego nieśpiewaną pieśń.

Zamierający wiatr niósł słowa tej piosenki daleko, daleko po przez wody, trzciny i przybrzeżne...

...Gdy słońce jasno świeci i wschodni wiatr wieje, Ze złowisz rybę, nie miej żadnej nadziei.

A jeśli pytasz, jaki wiatr nie sprawi ci zawodu,

Odpowiadam: ten co dmie z południa lub z południowego zachodu...

* * *

Nad czołnem, trzepocząc skrzydłami, unosiły się mewy-śmieszki. Wypatrzyły zdala zdobycz — małe, omdlałe płotki, które, jako nie nadające się na przynętę, rybak wyrzucił za burtę.

Rybki, ślaniając się na boki nie były w stanie ukryć się przed bystrym okiem tych ptaków, pełniących na wszystkich wodach, rolę straży sanitarnej.

Płocie płynęły resztkami sił w kierunku roślin podwodnych, bojąc się zapuścić głębiej, bo tam czyhały na nie stada nigdy nienasyconych okoni. Ginęły szybko.

A gdy ostatnia i największa płoc uniesiona została przez jedną z mew, reszta z tych ptaków wzię-

*) Na skutek licznych reklamacyj, Komitet Redakcyjny postanowił wznowić druk tłumaczenia książki, zatytułowanej „Żarłok“.

ciła wrzaskliwą kłótnię, ścigając i atakując skrzydłami swą siostrę tak długo, aż ta zniecierpliwiona, czy przestraszona upuściła trzymaną w dziobie rybę.

Drobny ten szczegół, widok wypadającej z dzioba płotki, przypomniał tokarzowi dawne zdarzenie. Kiedy zranił z dubeltówki śmiertelnie czaplę i był świadkiem, jak ptak ten, padając na wodę, w przedśmiertelnej agonii, wypluł kilka żywych rybek...

Wtem jedno z wędzisk, szarpnięte silnie, wygięło się łukiem ku powierzchni wody.

Jednocześnie tokarz usłyszał terkotanie kołowrotka, jakże przyjemne dla ucha wędkarza.

Z dużą szybkością wysnuwana linka ginęła w głębi jeziora.

Tokarz schwycił za kij, podciął i wyczuł grubą sztukę.

Taki o to miała początek ostatnia przygoda...

„Żarłok“ po kilkudniowych, silnych sztormach od czuwał przeraźliwy głód. Tym właśnie zjawiskiem można wytłómaczyć sobie jego brak ostrożności.

Poraz trzeci spotkał się z człowiekiem, który mógł go pozbawić życia.

Przyjął więc walkę i zaczął atakować.

Naprzód próbował kilkakrotnie zerwać przykrą więź.

Zataczał kręgi wokół podwodnych roślin...

Daremnie! Linka ścinała kwiaty i liście, jak ostra kosa.

Zdwoił więc swe siły i snując nadal linkę z kołowrotka opuścił się, jak błyskawica, w dół, aż do samego dna.

Zawtórowały tryby kołowrotka dźwięczną melodią, przypominającą miłosną pieśń świerszcza.

Tymczasem „Żarłok“, ryjąc pyskiem piaszczyste dno jeziora, starał się uwolnić od krępującej jego ruchy rybki. Świadczyły o tym liczne pęcherzyki gazu błotnego, ukazujące się bez przerwy na powierzchni wody.

Ucichł wreszcie kołowrotek i linka niepokojąco zaczęła zwisać ze szczytówki wędziska.

W chwilę później „Żarłok“ śmignął swym szmaragdowo-złocistym cielskiem z metr, nad wodę. W tym prostopadłym, ku niebu skierowanym skoku potrzasał ze złością swą głową, próbując jeszcze jednego sposobu ocalenia.

Nurkując z powrotem trzepnął z całej siły ogonem, rozbijając wodę na miliony drobnych pyłków.

Zabłysły radośnie oczy tokarza. Dawno nie miał tak mocnej sztuki i poznał w swym przeciwniku tego małego szczupaczka, którego uwolnił kiedyś od żądeł rybki z masy perłowej i nazwał go przez wycięcie kawałka płetwy grzbietowej.

Naprzemian „Żarłok“ zataczał szerokie koła, nie zdradzając wcale rezygnacji z dalszej walki.

Trzeszczał kij. W skuwkach powstawały niebezpieczne luzy.

W tymże czasie na dwóch pozostałych wędziskach, zastawionych na okonie, zaterkotały prawie jednocześnie kołowrotki.

Co było robić?

Tokarz zdecydował szybko.

Skrócił sznur rękoma, trzymający na uwięzi „Żarłoka“ i nadepnął go butem. Następnie schwycił naj-

bliższe wędzisko, podciął rybę i rzucił je na dno czółna.

Trzeciego kija nie zdążył dosięgnąć.

Może za mało miał nawiniętego sznura na kołowrotku, albo znowu natrafił na tak silną rybę, która z łatwością wyrwała wędzisko z zaczepów łodzi i wciągnęła je w głębinę jeziora.

„Żarłok“ skwapliwie wykorzystał tę chwilę przerwy. Odpoczął. Nabral nowych sił i ochoty do walki.

Wygiął swój tułów tak silnie, że prawie pyskiem sięgał własnego ogona. Potem rozprężył mięśnie i uderzył całym swym ciałem w jednym kierunku—bezpośrednio pod łódź.

Zatrzeszczało wędzisko i do połowy swej długości zanurzyło się w wodzie. Każdej chwili mogło być złamane. Nie było czasu na użycie kołowrotka.

Toteż tokarz schwycił za sznur i chcąc nadal sztywno utrzymać „Żarłoka“ zaczął nawijać linewkę na dłoń, jak to niejednokrotnie czynił, kiedy kołowrotek odmówił mu posłuszeństwa.

Kij wyginał się powoli coraz bardziej. Widocznie „Żarłok“ chciał się przedostać na drugą stronę łodzi. Jedno było tylko wyjście. Puścić luzem wędzisko. Tak też uczynił tokarz.

Wędzisko, jak kamień poszło do gruntu.

A jedyny kontakt z rybą został utrzymany za pośrednictwem linki namotanej na ręce.

Zapasy odtąd przybrały już inny charakter.

Powoli szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na niekorzyść człowieka.

A pozornie wyglądało inaczej.

Przedłużająca się walka z rybą, pełna silnych wzruszeń, obawa utraty tak rzadkiej i cennej zdobyczy, spowodowały to, że tokarz — ten stary wytrawny wędkarz przestał panować nad swymi nerwami.

Przyśpieszył niepotrzebnie skracanie sznura, mimo niesłabnącego oporu ryby i, uchwyciwszy z powrotem wędzisko przystąpił do likwidacji walki.

Po kilku próbach tokarzowi udało się doprowadzić szczupaka do samej łodzi. I, aby ułatwić hol potężnej sztuki, uklęknął na burcie czółna, przechylając je do samej powierzchni wody.

„Żarłok“, na widok wyciągniętej w jego kierunku siatki, szarpnął z całej mocy.

Tokarz stracił równowagę i pociągnięty przez „Żarłoka“ zniknął na zawsze wśród wód jeziora.

Niebezpieczne omotanie ręki linką było bezpośrednio przyczyną utonięcia tokarza.

Jedynymi świadkami tego nieszczęścia były mewy śmieszki, lilie wodne i daleka, smutna pieśń oczeretów.

* * *

Pogoda pod wieczór zaczęła się pogarszać.

Pociemniała powierzchnia wody.

Ożyły fale, kołysząc miarowo nadwodnym listowiem.

Po przez skłębione obłoki padały na wodę, od czasu do czasu, promienie słoneczne.

Liście grzybieni nabrały koloru rdzawej czerwieni.

d. c. n.

(Przekład z duńskiego).

Rybołówstwo w Polsce

Rozdział I.

WARUNKI FIZYCZNE

Gęsta sieć wodna w Polsce sprzyjała od najdawniejszych czasów rozwojowi rybołówstwa.

Liczne rzeki górskie i nizinne, olbrzymie połacie kraju pokryte rozlicznymi stawami, stwarzają na terenie Polski naturalne warunki dla ryb wszelkiego gatunku. To też nic dziwnego, że od najdawniejszych czasów na terenie całej Polski rozwijało się lokalne rybołówstwo w ramach gospodarstwa domowego.

Można nawet przypuszczać, że zanim przyszła kultura rolna obok pierwotnego łowiectwa rozwijały się prymitywne rybołówstwo.

Bogactwo ilościowe i gatunkowe ryb w Polsce zaspakajało w zupełności potrzeby mieszkańców, dawało także możliwości zorganizowania na wielką skalę gospodarki hodowli ryb dla wywozu na eksport. Do tego jednakowoż nigdy nie przyszło i jakkolwiek spożycie ryb w Polsce w ciągu ubiegłych wieków było nieproporcjonalnie większe od czasów dzisiejszych, to jednak nie umiano wykorzystać darów przyrody. Dochodziło nawet do tego, że jakkolwiek można było w zupełności pokryć zapotrzebowanie spożycia ryb na rynku wewnętrznym bez trudności, wskutek braku należytej organizacji, rok rocznie wydawano olbrzymie sumy na sprowadzanie ryb z zagranicy.

Tę anormalność najlepiej uwypuklają stosunki w Krakowie, gdzie nie potrafiono w wieku 16, 17 i 18 zorganizować hodowli ryb, tylko przywożono olbrzymie ilości ryb z pobliskiego Śląska, który wówczas znajdowano się już pod obcym panowaniem. Przykład Śląska, gdzie umiano zorganizować hodowlę stawową ryb i ciągnąć z tej gospodarki ogromne zyski jest dla tego charakterystyczny, że identyczne warunki rozwoju gospodarki rybnej miała wówczas cała Polska i te niestety zostały zmarnowane.

Jak wykazały badania naukowe przedsięwzięte w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, już sama Małopolska dysponuje ponad 50 gatunkami ryb, spośród których nie brak ryb szlachetnych jak łososia, węgorza, a nawet jesiotra¹⁾.

Naturalnie bogactwo ryb wędrownych w dawnych czasach było o wiele większe, gdyż rzeki były nieuregulowane i ryby miały lepsze warunki rozwoju. Nie było także fabryk i spływu Przemszą, nieczystości z całego obszaru przemysłowego Śląska, co najbardziej wypłasza obecnie ryby szlachetne z Wisły.

Pomijając owe przeszkody, zmieniające nie do poznania rybobostan w rzekach polskich, na terenie samej tylko Małopolski nauka polska stwierdziła wszelkie dane do rozwoju ryb różnych gatunków: „wody Galicji przedstawiają już samym swym obszarem wdzieniczny warsztat dla pracy rybackiej, nadto są one pożywne i dlatego same z siebie rybne, dalej są przeróżnej natury, nad temi wodami może kwitnąć rybacstwo stawowe i rzeczne jak kwitło ongi“²⁾.

Cóż dopiero mówić o bogactwie warunków pojezierza mazurskiego, czy innych połaci kraju z gęstą siecią dorzecza Wisły.

Dlatego biorąc pod uwagę dawne czasy, gdy nie było fabryk, ścieków licznych miast, gdy rzeki rozlewały swe wody szeroko i tworzyły liczne miejsca głębi i zatok, gdyż nie istniały wały regulacyjne — można sobie wyobrazić jak doskonalie miały ryby warunki naturalne dla swego rozwoju.

NAJDawniejsze rybołówstwo

Dla rybaków i nawet najprymitywniejszego rybołówstwa na terenie całej Polski istniały najdogodniejsze warunki dla jego rozwoju. Było to jedno z głównych zajęć najdawniejszej ludności naszego kraju.

Sielankę rybacką dawnych czasów przedstawił w przybliżeniu prawdopodobieństwa historyk Karol Szajnocha: „Na wybrzeżach gdańskich poławiano do czasów Łokietka śledzie. Toż na wielką stopę wiadziono myślistwo rybne. Szerokie płoty o pozostawionej w pośrodku bramie dla czółen, żelazne hałki czyli „grodze, jazy, przegradzały koryta rzek. Dla wydobycia bogatego połowu z jezior, przyprzegano konie do wólków. Zadna pora roku nie była przeszkodą rybakowi. Owszem im sroższa zima tym dłużej, bo od W. Świętych aż do końca marca, trwała ulubiona łówka po lodzie. Osobnej klasie rybaków odpowiadała osobna klasa tkaczów rybackich, wólczków, a przewodniczył u dworu książęcego osobny „mistrz rybołówstwa“. W ich rękę widzimy najrozmaitsze rodzaje broni rybackiej, włóki, wędki, więcierze, potrestnice, słabnice, zabrodnie, niewody, żaki. A ileż to różnych sposobów używania tej broni! Każdej wsi dziedzic, zastrzegając sobie samemu główny połów i handel rybny, dozwalał swoim osadnikom, pod rozmaitymi warunkami rybołówstwa dla własnego użytku. Tam sołtys na mocy pańskiego pozwolenia „w łódce“ na samym środku jeziora zarzucał wędę, a kmiecie u brzegów, „brodząc“ łowili. Owdzie zmyślny „wieśnica“, omijając zakaz łowienia w łódce płynął na środek jeziora i dawny słowiański obyczajem, leżąc na wodzie zapuszczał niewód. Czemu zapobiegając, obwarowano się wyraźną formułą: „wolno łowić tylko na nogach stojąc“ i łączono z tym warunek używania wędki tylko w dnie pewne. Swobodny rybak dorabiał się majątku i jak owi jego druhowie w gościnie u burgrabi złotyrybskiego, pijał za pan brat z starostami“³⁾

Liczne wzmianki w dokumentach średniowiecznych wykazują, że rybołówstwo w owych czasach należało do głównych zajęć. Zastrzeżenia co do sieci, pośród których rozróżniano kilkanaście gatunków, wskazują na to, że mimo bogactwa rybobostanu chciano uniknąć gospodarki rabunkowej.

Używano sieci następujących: nabrydy, drugubice, mszerze, słompnice, kidły, przywłoki, więcierze, wierze, żaki, zabrodnie, kłomie itd.⁴⁾

Zastrzegano się co do połowu w odpowiedniej porze roku, na odległość strzały rzuconej od młyną, w dół lub górę rzeki, jedną łodzią, czy też większą ilością, przy brzegu, lub na środku jeziora.⁵⁾

Ograniczenia te miały na celu zabezpieczenie jak-najściślejsze interesów panującego, który dając taki czy inny przywilej ustępował ze swych uprawnień za gotówkę lub inne usługi.⁶⁾

Różnorodność nazw i ograniczeń dowodzi, jak wielką rolę odgrywało rybołówstwo w życiu gospodarczym średniowiecznej Polski.

W dokumentach nie brak też nazw poławianych ryb, które potwierdzają fakt bogactwa gatunków ryb szlachetnych i wędrownych. Wymienia się często następujące gatunki. Łososie, jesiostry, szczupaki, węgorze, sielawy, liny, karpie, pstrągi, lipienie i pośledniejsze, jak brzany, ukleje, leszcze, kleszcze⁷⁾.

Nic dziwnego, że powstały potrawy narodowe, do których należą tzw. „Podkurek“: składał się on z ry-

by, jaj i mleka.⁸⁾ Potrawy tej używano głównie w poście, ale dla szerokiego ogółu było to jedno ze zwykłych dań.

Jak pisze Dubraviusz, którego książka wyszła w r. 1547, w „naszych rybnikach (stawach) najprzedniejsze miejsce ma karp a szczupak“.⁹⁾

Sam fakt, że pośród rzadkich druków polskich w owym czasie pojawiła się praca łacińska Dubrawiusza o hodowli ryb przetłumaczona na język polski przez Andrzeja Proga, dowodził ważności gospodarki rybnej w dawnej Polsce.

Sposoby łowienia były różne: jeden z nich opisuje Brückner w „Dziejach kultury polskiej“ — „nocą, hakiem przy świetle łuczywa do którego się ryby garnęły“.¹⁰⁾

Wspomniany Dubraviusz opisuje ulubiony sposób połowu na lodzie: „naprzód naczynia na karpie nagotują, potem lód przy rurze na kwadrat wyrębiają dookoła, który na wierzch wyciskują, albo potłuką, a jeśli żadnym sposobem nie można go wycisnąć, albo wytłuc dla jego wielkości, sieci na lodzie rozciągnąwszy, przereblami dokoła wyrąbanymi, pod ten lód na ryb łowienie zapuszczają“.¹¹⁾

Trudno byłoby wyliczyć te wszystkie pomysły na jakie wysilało się rybactwo dawne, świadome swej roli, jaką odgrywało w ówczesnym życiu gospodarczym, stanowiąc jeden z głównych działów ulubionej gospodarki narodowej.

Jeżeli nie została ona należycie wykorzystana i zorganizowana to jedną z przeszkód stanowiły przesady stanowe, o których wspomina także Dubraviusz, zdziwiony widokiem „wielkiego pana“, który na Śląsku trudnił się ryb połowem. Zdziwienie jego było tym większe, że według pojęć szlachty polskiej paranie się handlem pod jakąkolwiek postacią przynosiło ujmę

jej stanowi. Stąd też wypływała i niechęć do zorganizowania gospodarki rybnej na większą skalę, gdyż wymagała ona oparcia jej na zasadach handlowych. Jak wykazują dokumenty rybaków krakowskich, górale i chłopci okoliczni dostarczali łososie i inne ryby do miasta, wyręczając w tym swych panów.¹²⁾

Naturalnie to dorywcze i prymitywne dowożenie z natury rzeczy było sporadyczne i obliczone na krótką metę, a przede wszystkim prymitywne.

Zdziwionemu Dubroviuszowi odpowiedział ów pan śląski następująco: „jeżeli nie masz smroty wielkiemu panu za małym zwierzątkiem, zajączkiem bawić się myślistwem, a czemuż ma się wstydać łowić karpie albo szczupaki“.¹³⁾ Autor chciał zachęcić polskich panów do większego zainteresowania się hodowlą ryb i dlatego podawał przykłady, iż nawet królowie rybactwem się bawili:

„Matiasz, król węgierski zajmował się gospodarką rybną, dokazał, że 60 jesiotrów z Dunaju do stawu wprowadził i ryba nie mogąca cierpieć mieszkania w zastawionej wodzie — świeża trwała“.¹⁴⁾

Ogromne spóźnienie ryb w wieku 16 i 17 w Polsce spowodowało zorganizowanie tej gospodarki rybnej w majątkach polskich i książka Olbrachta Strumieńskiego p. t.: „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybnieniu stawów“, wydana w Krakowie w r. 1573 świadczy o dużym doświadczeniu technicznym. Niemniej nigdy nie uamiano zorganizować się w ten sposób, ażeby nadmiar ryb wywozić za granicę, lecz nawet dopuszczono do przywozu ryb morskich jakkolwiek można było pokryć zapotrzebowanie wewnętrzne w zupełności. Tą drogą zmarnowano jedną z naturalnych i ważnych gałęzi rolnictwa, traktując ją wyłącznie jako hodowlę lokalną i tylko na własną potrzebę.

Dr Mieczysław Tobiasz — Kraków

(Ciąg dalszy ze str. 2 okładki)

tów w drugiej połowie października r.b. celem dokonania wyboru nowego Zarządu Związku.

21. Do chwili Zjazdu stanowisko Prezesa Związku obejmuje Viceprezes R. Maksymowicz, w zastępstwie zaś Prezesa Zarządu w Warszawie sprawy bieżące b'ura Związku prowadzić będzie do powyższego terminu kol. Wł. Czerwiński.

Warszawa, dn. 30 maja 1949 r.
MINISTERSTWO ROLNICTWA
I REFORM ROLNYCH
Nr PR. Z. VI-9/8

PISMO OKÓLNE

w sprawie opłat za prawo wykonywania sportowego połowu ryb naw ędkę na wodach znajdujących się w bezpośredniej administracji państwowej.

W nawiązaniu do zarządzenia Ministrów Rolnictwa i Reform Rolnych

i Leśnictwa, z dn. 1.III.1949 r. PR. Z. VI w sprawie zasad prowadzenia państwowej gospodarki rybackiej na wodach otwartych i instrukcji do wymienionego zarządzenia z dnia 19.III.1949 r. PR. Z. VI. 1/11/49 oraz pisma okólnego Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 22.III. 1949 r. PR/Z-VI-9/5/49 w sprawie popierania organizacji sportu wędkarskiego, zarządza się co następuje:

1) Za zezwolenie wykonywania sportowego połowu ryb na wędkę ustala się następujące opłaty:
zwykła wędką za cały sezon 500 zł
" " " miesiąc 200 „
" " " 2 tygodnie 100 „

2) spinning i błystki mies. 3000 „
" " " tyg. 1000 „
" " " dzień. 200 „

Te same opłaty obowiązują za prawo wykonywania wędką zwykłą sportowego połowu ryb i muchówką na wodach typowo pstrągoych, lipieniowych i łososiowych.

Dla uczącej się młodzieży należy

stosować 50 proc. ulg odnośnie wędkowania wędką zwykłą.

3) Opłata za prawo utrzymywania na wodzie łódki (kajak itp.)

za sezon	300 zł
miesięcznie	100 „

Jako sezon należy rozumieć rok kalendarzowy.

Zezwolenie wykupione w ciągu sezonu, ważne jest na okres, na który zostało wystawione.

Zezwolenie na prawo połowu wydają — Dyrekcje Lasów Państwowych, Zarządy Okręgowe Państwowych Gospodarstw Rolnych, Nadleśnictwa, administracji zespołów jeziorowych i rolnych oraz administracje poszczególnych obiektów rybackich.

Maksymalna ilość zezwoleń na prawo wędkowania nie powinna w zasadzie przekraczać jednego zezwolenia na 10 ha powierzchni. Zezwolenie nie może uprawniać do połowu na więcej, niż dwie wędkę.

Zezwolenia na prawo wędkowania mogą otrzymywać — członko-

**Zarząd Sportowych Towarzystw Wędkarskich
niniejszym zawiadamia, że biuro Związku zostało
przeniesione na ul. Nowogrodzką nr 15**

wie stowarzyszeń wędkarskich, zrzeszonych w Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Osobom będącym na urlopie lub wczasach, a posiadającym karty wędkarskie dopuszczalne jest wydawanie zezwoleń okresowych, choćby nie należeli do Towarzystw Wędkarskich.

Zarządzenie to nie dotyczy wód państwowych użytkowanych przez dzierżawców (spółdzielnie pracy, produkcyjne, osoby prywatne itp.).

Wiceminister
(—) St. Tkaczow

SPROSTOWANIE

W komunikacie Z.S.T.W. w Nr 5 „Wiadomości Wędkarskich“ wkradła się pomyłka, a mianowicie: zamiast „Katowickie Towarzystwo Rybackie“, winno być wydrukowane: „Katowickie Towarzystwo Wędkarskie“.

Z MINISTERSTWA LEŚNICTWA

Ponżej Redakcja podaje treść zarządzenia Ministerstwa Leśnictwa z dnia 29.IV.49 w sprawie wędkarstwa. W związku z tym nasuwają się następujące uwagi, które winny wywołać szerszą dyskusję wśród miłośników sportu wędkarskiego.

1) Słusznym jest, że do czasu należytego zorganizowania wędkarstwa w Polsce nie jest wymagana przynależność do STW od wędkarzy sezonowych (wczasowiczów i urlopowiczów), gdyż śmiemy wątpić, aby prawdziwy sportowiec - wędkarz ograniczył się do wędkowania tylko w okresie urlopu. Wydaje nam się jednak uzasadnionym, aby wędkarze ci również świadczyli w pewnym stopniu, choćby w postaci jednorazowej opłaty 50 — 100 zł. na rzecz Związku STW na cele organizacyjne i popularyzacji sportu wędkarskiego.

2) Zdaniem naszym wędkarze sezonowi winni zaopatrywać się w formularze zezwoleń na wędkowanie w lokalnych STW, co skłoni ich do na-

wiązania kontaktu z organizacją wędkarską.

3) Odnosnie opłat za wędkowanie na spinning i błystkę oraz na wodach pstrągowych, zdaniem naszym, zachodzi potrzeba podzielenia wód na pewne kategorie (co najmniej 3) pod względem ich zarybiania i żoności, gdyż według naszego przekonania opłaty te dla wielu wód są zbyt wygórowane, a dla innych mogą być za niskie.

Pragniemy podkreślić, że Ministerstwo Leśnictwa swoim zarządzeniem, w ślad za rozporządzeniem Ministerstwa Rolnictwa i R. R. z dnia 22.III.1949 r., drukowanym w Nr. 4 r. b. „WW“ również wyraziło swoje stanowisko, uznające konieczność zrzeszenia wszystkich wędkarzy sportowych w ogólnopolskim Związku STW, co niewątpliwie w znacznym stopniu przyczyni się do właściwej organizacji i rozwoju sportu wędkarskiego w Polsce, tym bardziej, że obydwie Ministerstwa zaleciły już w poprzednich swych zarządzeniach swym organom podległym, aby te przydzieliły dla potrzeb wędkarstwa odpowiednie tereny sportowe i otoczyły sport wędkarski należytą opieką.

Ministerstwo Leśnictwa
Departament Produkcji
Niedrzewnej i Łowiectwa
V/Ryb/423/17

Z a r z ą d z e n i e

w sprawie opłat pobieranych za prawo wędkowania na wodach znajdujących się w bezpośredniej administracji Państwa.

W nawiązaniu do zarządzenia Ministrów Rolnictwa i R. R. i Leśnictwa z dnia 1.III.1949 r. Nr PR. Z-IV i instrukcji Ministerstwa Leśnictwa do wykonienia Ministerstwa Leśnictwa do wymienionego zarządzenia z dnia 17.III. Zn. V/Ryb. 26/50 oraz do zarządzenia Ministra R. i R. z dnia 22.III.1949 r. Nr PR/Z-IV-9/5/49 zarządza się co następuje:

1) Opłaty za prawo wędkowania ustala się w następującej wysokości: zwykła wędką na cały sezon 500 zł
" " " miesiąc 200 zł
" " " 2 tygodnie 100 zł

2) Spinning i błystki:
miesięcznie 3000 zł
tygodniowo 1000 zł
dziennie 200 zł

Te same opłaty obowiązują za wędkowanie również wędką zwykłą i muchówką na wodach typowo pstrągowych lipieniowych i łososiowych.

3) Opłata za prawo utrzymywania na wodzie łódki (kajak itp.)
za sezon 300 zł
miesięcznie 100 zł

Przez sezon należy rozumieć rok kalendarzowy. Zezwolenie wykupione w ciągu sezonu ważne jest do końca roku kalendarzowego.

Zezwolenia na prawo połowu wydają: Dyrekcja Lasów Państwowych, Nadleśnictwa, Administracje zespołów jeziorowych oraz Administracje poszczególnych obiektów rybackich.

Maksymalna ilość zezwoleń na prawo wędkowania nie może przekraczać jednego zezwolenia na 10 ha powierzchni. Zezwolenie nie może uprawniać do połowu na więcej niż dwie wędkę.

Zezwolenie na prawo wędkowania mogą otrzymywać: członkowie Stowarzyszeń Wędkarskich zrzeszonych w Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Osoby przyjeżdżające na wczasy i posiadające kartę wędkarską, chociaż nie są członkami Towarzystw Wędkarskich — mogą w drodze wyjątku otrzymać zezwolenie na prawo połowu ryb.

Zarządzenie to nie dotyczy wód państwowych, użytkowanych przez dzierżawców (Spółdzielnie pracy, osoby prywatne).

Otrzymują:
Wszystkie dyrekcje Lasów Państw.

Wiceminister:
(—) inż. R. Borowy

Adres Redakcji: Warszawa, Mokotowska 46 m. 17; Administracji: — Nowogrodzka 15. Konto czekowe PKO Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Nr I — 8276.

Cena egzemplarza 40 zł. Dla wędkarzy zrzeszonych w Związku 25 zł. Cena w prenumeracie dla niezrzeszonych 420 zł. rocznie.

Wydawca — Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Redaktor Józef Wyganowski

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona okładki lub za tekstem: $\frac{1}{4}$ — 10.000 zł., $\frac{1}{2}$ — 8.000 zł., $\frac{3}{4}$ — 6.000 zł., $\frac{1}{8}$ — 4.000 zł., $\frac{1}{16}$ — 2.000 zł.; — Za ogłoszenia w tekście drożej o 50%. Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem po 10 zł. za wyraz; grubym drukiem po 20 zł. za wyraz.

Za dział ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów, rysunków, fotografii itp. Ponadto Redakcja zastrzega sobie prawo robienia zmian w nadesłanych rękopisach, poprawek itd.